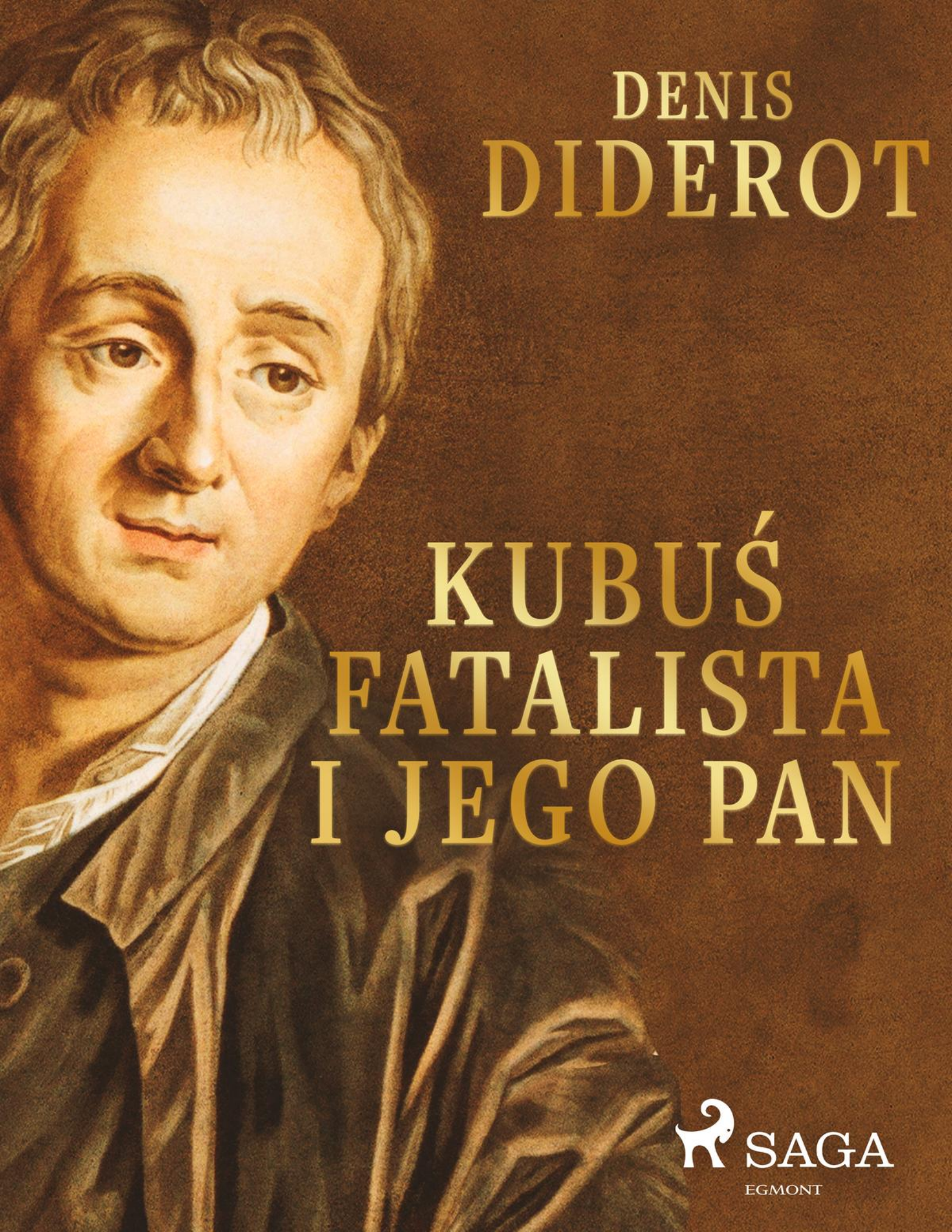


A detailed oil painting of Denis Diderot, showing him from the chest up. He has light brown, wavy hair and is looking slightly to the left with a thoughtful expression. He is wearing a dark brown coat over a white shirt with a high collar.

DENIS
DIDEROT

KUBUŚ
FATALISTA
I JEGO PAN



SAGA

EGMONT

A classical oil painting of Denis Diderot, showing him from the chest up. He has light brown, wavy hair and is looking slightly to the left with a thoughtful expression. He is wearing a dark brown coat over a white shirt with a high collar. The background is a solid, dark brown color.

DENIS
DIDEROT

KUBUŚ
FATALISTA
I JEGO PAN



SAGA
EGMONT

Denis Diderot

Kubuś Fatalista i jego Pan

Tłumaczenie Tadeusz Boy-Żeleński

Saga

Kubuś Fatalista i jego Pan

Tłumaczenie Tadeusz Boy-Żeleński

Tytuł oryginału *Jacques le Fataliste*

Język oryginału francuski

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Copyright © 1796, 2022 SAGA Egmont

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728191767

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Jak się spotkali? Przypadkiem, jak wszyscy. Jak się zwali?
Naco wam ta wiadomość? Skąd przybywali? Z najbliższego
miejsca. Dokąd dążyli? Alboż kto wie, dokąd dąży? Co
mówili? Pan nic, Kubuś zaś, iż jego kapitan mawiał, że
wszystko co nas spotyka na świecie, dobrego i złego,
zapisane jest w górze.

PAN . — Oto mi wielkie słowo!

KUBUŚ . — Mówił jeszcze, iż każda kula, która wylatuje na
świat z rusznicy, ma swój adres. ¹

PAN . — I miał słuszość...

Po krótkiej pauzie, Kubuś zakrzyknął: Niech djabeł
porwie szynkarza i jego gospodę!

PAN . — Dlaczego wysyłać do diabła bliźniego swego? To
nie po chrześcijańsku.

KUBUŚ . — Ano bo tak: zalałem pałkę lichem wińskim,
zapomniałem napoić konie. Ojciec widzi to i wpada w złość.
Ja wzruszam ramionami; on bierze kija i naciera mi nieco
przytwardo plecy. Jakiś pułk przechodzi właśnie przez wieś,
śpiesząc pod Fontenoy ² ; ze złości, zaciągam się w rekruty.
Przybywamy; zaczyna się bitwa...

PAN . — I dostajesz kulę pod swoim adresem.

KUBUŚ . — Zgadł pan; postrzał w kolano; Bogu tylko
wiadomo, co za dobre i złe przygody sprowadził na mnie
ten postrzał. Trzymają się jedna drugiej ni mniej ni więcej
jak ogniwa łańcuszka. Ot, gdyby nie ten postrzał, sądzę, że
nigdy w życiu nie byłbym ani zakochanym ani kulawym.

PAN . — Byłeś tedy zakochany?

KUBUŚ . — Czy byłem! dobre pytanie!

PAN . — Z powodu postrzału?

KUBUŚ . — Z powodu postrzału.

PAN . — Nigdyś mi o tem nie rzekł ni słowa.

KUBUŚ . — Myślę sobie.

PAN . — I dlaczego?

KUBUŚ . — Dlatego, iż to słowo nie mogło paść ani wcześniej ani później.

PAN . — I chwila opowiedzenia twoich amorów nadeszła?

KUBUŚ . — Kto to wie?

PAN . — Na wszelki wypadek, zaczynaj...

Kubus rozpoczął historję swoich amorów. Było to poobiedzie; czas był parny; pan zdrzemnął się. Noc zaskoczyła ich w polu; zbłądzili. I oto pan wpada w straszliwy gniew i nie szczędi tęgich razów słudze, nieborak zaś powtarza za każdym ciosem: „I ten musiał być widocznie zapisany w górze“...

Widzisz, czytelniku, że jestem na ładnej drodze, i że odemnieby tylko zależało kazać ci czekać rok, dwa, trzy lata na opowieść o amorach Kubusia, rozłączając go z panem i kazać każdemu z osobna wędrować poprzez wszystkie przygody jakieby mi się spodobało wyroić. Cóżby mi przeszkodziło ożenić pana i przyprawić mu rogi? wyprawić Kubusia na dalekie wyspy? zapędzić tam jego pana? sprowadzić obu z powrotem do Francji na jednym statku? Cóż łatwiejszego jak klecić powieści! Ale, tym razem, wykpią się oba ze sprawy jedną niezbyt mile spędzoną nocą, a wy tem małym opóźnieniem.

Zaczęło świtać; nasi podróżni dosiedli koni i ruszyli swoją drogą. — A dokąd jechali? — Już drugi raz zadajecie to pytanie i drugi raz odpowiadam: naco wam wiedzieć? Skoro raz tknę się przedmiotu ich podróży, bywajcie zdrowe miłostki Kubusia... Wędrowali jakiś czas w milczeniu. Gdy każdy otrząsnął się nieco ze swego zmartwienia, pan rzekł: I cóż, Kubusiu, gdzieśmy utknęli w twoich amorach?

KUBUŚ . — Utknęliśmy, o ile mi się zdaje, na porażce nieprzyjacielskiej armji. Jedni uciekają, drudzy gonią, każdy myśli o sobie. Zostaję na polu bitwy, zagrzebany pod mnogością zabitych i rannych, zaiste niezliczoną.

Nazajutrz, rzucono mnie, wraz z tuzinem innych, na wóz, aby nas zawieźć do szpitala. Och! panie, nie sądzę aby istniało w świecie coś okrutniejszego niż rana w kolano.

PAN . — Żartujesz chyba, Kubusiu.

KUBUŚ . — Nie, panie, dalibóg nie żartuję! Jest tam niewiem ile kości, ścięgien i innych rzeczy, poprzęzywanych sam nie wiem jak...

Jakiś człowiek, który człapał za nimi na koniu, wioząc za sobą oklep młodą dziewczynę, usłyszał te słowa i rzekł: „Pan ma słuszość”...

Niewiadomo było do kogo się odnosi to „pan”, ale spotkało się, zarówno u Kubusia jak i jego pana, z nieszczególnem przyjęciem; Kubuś zaś rzekł do natręta: „Czego ty nos wściubiasz?”

— Wściubiam nos do mego rzemiosła; jestem chirurg do usług pańskich, i wykażę...

Kobieta, którą wioził za sobą, rzekła: „Panie doktorze, jedźmy swoją drogą, i zostawmy tych panów którzy nie lubią aby im wykazywać...

— Nie, odparł chirurg, chcę wykazać i wykażę...

I, odwracając się aby wykazać, popycha towarzyszkę, pozbawia ją równowagi i strąca na ziemię z jedną nogą zaczepioną o poły jego ubrania i spódnicami zawiniętymi na głowę. Kubuś schodzi z konia, uwalnia nogę biednej istoty i obciąża spódnice: nie wiem czy zaczął od uwolnienia nogi czy od obciążenia spódnic; ale, o ileby się sądziło o stanie tej kobiety z jej krzyków, musiała snadź uleść dotkliwemu zranieniu. Zaś pan Kubusia rzekł do chirurga: „Oto, co znaczy wykazywać.”

A chirurg: „Oto, co znaczy nie chcieć komuś pozwolić wykazać!...”

A Kubuś do kobiety leżącej, czy też pozbieranej z ziemi: „Pociesz się, dobra duszo, to ani twoja wina, ani pana doktora, ani moja, ani też mego pana: było napisane w

górze, iż dzisiaj, na tym gościńcu, o tej właśnie godzinie, pan doktor będzie gaduła, że mój pan i ja będziemy parą mruków, że ty nabijesz sobie sińca na głowie, i że ujrzymy u ciebie odwrotną stronę medalu...”

W cóż-by nie urosła ta przygoda w moich rękach, gdyby mi przyszła fantazja znęcać się nad wami! Uczyniłbym z tej kobiety jakąś ważną osobę: poruszyłbym kmiotków z całej parafii, wznieciłbym boje i miłości; trzeba bowiem przyznać, iż ta córa wsi kryła rzadkie uroki pod swoją parcianką. Kubuś i jego pan zauważyli to; toć nieraz ani tyle nie było potrzeba, aby rozniecić miłość. Dlaczego Kubuś nie miałby się zakochać po raz drugi? dlaczego po raz drugi nie miał stać się rywalem, ba, zwyciężkim rywalem swego pana? — A czy już zaszło kiedy coś podobnego? — Ciągłe pytania! Nie chcecie tedy, aby Kubuś wiódł dalej historję swoich amorów? Porozumiejmyż się wreszcie, raz na zawsze: chcecie czy nie? Jeżeli tak, w takim razie, posadźmy wieśniaczkę z powrotem na siodło przewodnika, pozwólmy im jechać dalej i wróćmy do naszych podróży. Tym razem, Kubuś zabrał głos i rzekł:

„Oto sądy ludzkie: pan, który nie byłeś zraniony w swoim życiu i nie wiesz co to postrzał z rusznicy w kolano, utrzymujesz w żywe oczy, mnie, który miałem kolano strzaskane i kuleję od dwudziestu lat...”

PAN . — Może i masz słuszość. Ale ten zatracony chirurg jest przyczyną, iż jeszcze oto gnieciesz się na wózku z kompanami, daleko od szpitala, daleko od wyleczenia i daleko od zakochania się.

KUBUŚ . — Cobądź się panu podoba o tem rozumieć, ból jakiego doznawałem w kolanie był nie do zniesienia; a potęgował się jeszcze od niewygód wehikułu, nierówności drogi, tak iż za każdym wstrząśnieniem wydawałem przeraźliwe krzyki.

PAN . — Ponieważ było napisane w górze, iż będziesz krzyczał?

KUBUŚ . — Z pewnością! Krew uchodziła ciurkiem, i byłbym niechybnie wyzionął ducha, gdyby nasz wózek, ostatni ze sznura ciągnących wozów, nie zatrzymał się przed jakąś chałupą. Zacząłem się domagać aby mnie zsadzono; ułożono mnie na ziemi. Młoda kobieta, stojąca w progu, weszła do chaty i wnet ukazała się ze szklanką i butelką wina. Wypiłem pospiesznie parę łyków. Wózki jadące przed naszym, ruszyły. Już miano mnie rzucić z powrotem między towarzyszy niedoli, kiedy, uczepiwszy się mocno sukien tej kobiety, zakląłem się że nie wsiądę z powrotem, i że, jeśli mam umierać, wolę już skończyć tu, na miejscu, niż o dwie mile dalej. Domawiając ostatnich słów, omdlałem. Ocknąłem się w łóżku, w niewielkiej izdebce; koło mnie stał jakiś wieśniak, widocznie gospodarz domu, jego żona (ta sama która udzieliła mi pomocy) i kilkoro drobnych dzieci. Kobieta umaczała róg fartucha w occie, i nacierała mi czoło i skronie.

PAN . — A, łotrze! a, zdrajco!... Widzę już, hultaju, dokąd zmierzasz.

KUBUŚ . — A ja sędzę, że pan nic nie widzi.

PAN . — Nie w tej oto kobiecie gotujesz się zakochać?

KUBUŚ . — A gdyby i tak było, cóżby można na to powiedzieć? Czy człowiek ma władzę zakochania się lub niezakochania? A kiedy jest zakochany, czy może postępować tak jakby nim nie był? Gdyby tak było zapisane w górze, byłbym sobie sam powiedział wszystko co pan masz zamiar mi powiedzieć; byłbym się wypoliczkował; tłukłbym głową o mur; wydierał sobie włosy; wszystko to nie posunęłoby sprawy ani w tył ani naprzód, i mój dobroczyńca byłby rogalem.

PAN . — Ale, rozumując na twój sposób, niema zbrodni, którejby nie można popełnić bez wyrzutów sumienia.

KUBUŚ . — To co pan mi zarzuca, niejednokrotnie trapiło moją mózgownicę; mimo wszystko, powracam zawsze do poglądów mego kapitana: Wszystko co nam się trafia dobrego lub złego na ziemi, jest zapisane w górze. Czy zna pan jaki sposób aby wymazać to pismo? Czy mogę nie być sobą? A będąc sobą, czy mogę postępować inaczej od siebie? Czy mogę być sobą i kim innym? I, od czasu jak jestem na świecie, czy była bodaj jedna chwila w którejby to nie było prawdą? Wyróżnij pan kazań ile się panu spodoba, pańskie racje mogą być doskonałe; ale, jeśli jest napisane we mnie, albo tam w górze, iż mnie nie trafią do smaku, cóż ja mogę na to poradzić?

PAN . — Dumam nad jedną rzeczą: mianowicie, czy ty przyprawileś rogi swemu dobroczyńcy, ponieważ to było napisane w górze, lub też czy to było napisane w górze, ponieważ miałeś przyprawić rogi swemu dobroczyńcy?

KUBUŚ . — I jedno i drugie było napisane obok siebie. Wszystko było napisane odrazu. To niby wielka wstęga, która rozwija się po troszeczkę...

Rozumiesz, czytelniku, dokąd mógłbym prowadzić tę rozmowę, na której temat tyle się już nagadano, tyle napisano od dwóch tysięcy lat, nie posunąwszy rzeczy ani o krok naprzód. Jeśli nie czujesz dla mnie nieco wdzięczności za to co mówię, powinienes jej mieć sporo za to czego ci oszczędzam.

Podczas gdy nasi dwaj teologowie dysputowali nie mogąc dojść do porozumienia, jak się to czasem zdarza w teologii, zbliżała się noc. Jechali okolicą niezbyt pewną w każdym czasie, a jeszcze o wiele mniej w owym, gdy zła administracja i nędza pomnożyły bez liku ilość złoczyńców. Zatrzymali się w bardzo nędznej gospodzie. Ustawiono im dwa składane łóżka w klitce wpół otwartej na wsze strony. Zażądali wieczerzy. Przyniesiono wody z kałuży, czarnego

chleba i skwaśniałego wina. Gospodarz, gospodyni, dzieci, służba, wszystko miało wygląd podejrzanym. Słyszeli przez ścianę nieumiarkowane śmiechy i hałaśliwą wesołość kilku opryszków, którzy przybyli wcześniej i sprzątnęli im z przed nosa wszystkie zapasy. Kubuś był dość spokojny; panu wiele brakowało do tego stanu. Przechadzał się zafrasowany wzdłuż i wszerz, podczas gdy sługa pochłaniał spore kęsy czarnego chleba i, krzywiąc się, łykał jedną i drugą szklankę lichego wina. Gdy się tak zabawiali, usłyszeli pukanie do drzwi: był to służący. Owi zuchwali i niebezpieczni sąsiedzi zmusili go aby zaniósł naszym podróżnym brudny talerz, na którym złożyli kości z drobiu, pochłoniętego na wieczerzę. Kubuś, oburzony, chwytając pistolety.

„Gdzie idziesz?

— Niech mnie pan puści.

— Gdzie idziesz? powiadam.

— Nauczyć rozumu tę kanalię.

— Czy wiesz, że ich jest z jaki tuzin?

— Choćby było stu, liczba nic nie znaczy, jeśli jest napisane w górze że nie będzie wystarczająca.

— Niechże cię djabeł porwie z twojem niedorzecznym przysłowiem!...”

Kubuś wyrywa się z rąk pana, wchodzi do izby rzezimieszków, trzymając w każdej ręce nabity pistolet. „Prędko, kłaść mi się zaraz, rzecz; pierwszemu, który się ruszy, palę w łeb”... Mina i ton Kubusia były tak wymowne, iż hultaje, którzy cenili życie niegorzej od każdego uczciwego człowieka, wstali od stołu nie pisnąwszy słówka, rozebrali się i położyli. Pan Kubusia, niepewny w jaki sposób skończy się przygoda, czekał nań cały drżący. Kubuś powrócił obładowany odzieniem tych ludzi; zabrał je z sobą, aby im nie przyszła pokusa wstać z łóżek; zgasił światło i zamknął drzwi na dwa spusty, trzymając klucz w dłoni wraz

z jednym z pistoletów. „A teraz, panie, rzekł do chlebowodawcy, wystarczy zabarykadować się przysuwając łóżka do drzwi, i możemy spać spokojnie...” I wraz zabrał się do przesuwania łóżek, opowiadając zwięźle i sucho szczegóły wyprawy.

PAN . — Ej, Kubusiu, co z ciebie za człowiek! Więc ty wierzysz...

KUBUŚ . — Nic nie wierzę, ani nie niewierzę.

PAN . — A gdyby się wzdragali położyć?

KUBUŚ . — To było niemożliwe.

PAN . — Dlaczego?

KUBUŚ . — Ponieważ tego nie uczynili.

PAN . — A gdyby wstali?

KUBUŚ . — Tem gorzej, lub tem lepiej.

PAN . — Gdyby... gdyby... gdyby... i...

KUBUŚ . — Gdyby... gdyby morze zaczęło wrzeć, siła ryb by się ugotowało, jak powiadają. Cóż, u djaska, przed chwilą myślał pan, iż ja narażam się na wielkie niebezpieczeństwo: wierutny fałsz; teraz wyobrażasz sobie, iż sam jesteś w wielkiem niebezpieczeństwie; być może, hipoteza równie fałszywa. Wszyscy w tym domu boimy się jedni drugich; co dowodzi, że wszyscy jesteśmy głupcy...

Tak rozprawiając, rozebrał się, ułożył i zasnął. Pan, zajadając z kolei kawałek czarnego chleba i wychylając łyk kwaśnego wina, nadśłuchiwał dokoła i, patrząc na chrapiącego Kubusia, myślał: „Cóż za człowiek!...” W końcu, za przykładem sługi, wyciągnął się również na pryczy, ale nie usnął ani na chwilę. Z pierwszym brzaskiem, Kubuś uczuł że ktoś go trąca; była to dłoń pana, który wołał po cichu: „Kubuś! Kubuś!”

KUBUŚ . — Co takiego?

PAN . — Dnieje.

KUBUŚ . — Być może.

PAN . — Wstawaj.

KUBUŚ . — Poco?

PAN . — Poto, aby się stąd wynieść jak najprędzej.

KUBUŚ . — Poco?

PAN . — Bośmy źle trafili.

KUBUŚ . — Kto to wie; jak również czy lepiej trafimy gdzieindziej?

PAN . — Kubuś?

KUBUŚ . — I cóż, Kubuś! Kubuś! co z pana za człowiek!

PAN . — Co z ciebie za człowiek! Kubuś, mój złoty, proszę cię.

Kubuś przetarł oczy, ziewnął na kilka zawodów, przeciągnął się, wstał, ubrał się bez pośpiechu, odsunął łóżko, wyszedł z izby, zeszedł na dół, udał się do stajni, osiodłał konie, założył im uzdę, obudził śpiącego jeszcze gospodarza, zapłacił należność, zatrzymał klucze od obu pokoi, i podróżni ruszyli w drogę.

Pan chciał wypuścić galopa, Kubuś chciał jechać stępo, zawsze w myśl swej zasady. Gdy już byli o spory kawał drogi od żalosnego noclegu, pan, słysząc iż coś podzwania w kieszeni Kubusia, zapytał co to takiego; na co Kubuś odparł, iż to klucze od pokoi.

PAN . — Dlaczegoż ich nie oddałeś?

KUBUŚ . — Bo w ten sposób trzeba będzie wywazać dwoje drzwi: naszych sąsiadów aby wydobyć ich z uwięzienia, i nasze, aby odzyskać ich odzież; dzięki temu, zyskamy na czasie.

PAN . — Wybornie, Kubusiu! ale dlaczego chcesz zyskać na czasie?

KUBUŚ . — Dlaczego? Na honor, sam nie wiem.

PAN . — I, jeżeli chcesz zyskać na czasie, dlaczego jedziemy tym wolniutkim truchtem?

KUBUŚ . — Dlatego, iż, nie wiedząc co jest napisane tam w górze, człowiek nie wie ani czego chce, ani co czyni; idzie za swoim urojeniem, które nazywa się rozumem, albo za swoim rozumem, który często jest jeno niebezpiecznem urojeniem, obracajacem się czasem na dobre, czasem na złe.

PAN . — Czy mógłbyś mi powiedzieć, co to warjat, a co człowiek rozumny?

KUBUŚ . — Czemu nie?... warjat... zaczekaj pan... to człowiek nieszczęśliwy; a za tem idzie, iż człowiek szczęśliwy jest rozumny.

PAN . — A co to jest człowiek szczęśliwy lub nieszczęśliwy?

KUBUŚ . — Co to, to bardzo łatwe. Człowiek szczęśliwy, to ten, którego szczęście zapisane jest w górze; tem samem, ten, którego nieszczęście zapisane jest w górze, jest człowiekiem nieszczęśliwym.

PAN . — A któż jest ten, kto pisze tam w górze szczęście i nieszczęście?

KUBUŚ . — A kto jest ten, kto uczynił ów wielki zwój gdzie wszystko jest zapisane? Pewien kapitan, przyjaciel mego kapitana, chętnie byłby dał bitego talara aby to wiedzieć; kapitan sam nie dałby ani szeląga, ani ja też nie; nacoby mi się to zdało? Czy uniknąłbym przez to dziury, w której mam kark skrócić?

PAN . — Myślę, że tak.

KUBUŚ . — Ja myślę że nie; musiałyby bowiem być jakaś kreska fałszywa w wielkim zwoju który zawiera prawdę, samą prawdę, i całą prawdę. Byłoby napisane na wielkim zwoju: „Kubuś skręci kark tego a tego dnia“, i Kubuś nie skręciłby karku? Czy wyobraża pan sobie że to możliwe, bez względu na to, komu przypiszemy autorstwo wielkiego zwoju?

PAN . — Wieleby rzeczy można powiedzieć w tej kwestji...

PAN . — Mój kapitan mniemał, iż roztropność jest to przypuszczenie, w którym doświadczenie upoważnia nas do patrzenia na dane okoliczności jako na przyczyny pewnych skutków, jakich możemy się spodziewać lub obawiać na przyszłość.

PAN . — I ty co z tego rozumiesz?

KUBUŚ . — Zapewne; stopniowo włożyłem się do jego języka. Ale, powiadał, kto może się chlubić iż ma dosyć doświadczenia? Ten który sobie pochlebiał iż najlepiej jest w nie zaopatrzony, czy nigdy się nie oszukał? A potem, czy istnieje człowiek zdolny trafnie ocenić okoliczności w jakich się znajduje? Rachunek, jaki czynimy w naszych głowach, a ten który zapisany jest w rejestrach tam w górze, to dwie rzeczy bardzo różne. Żali to my kierujemy losem, albo też los kieruje nami? Ileż zamysłów roztropnie wykonanych chybiło i jeszcze chybi! Ile nedorzecznych zamysłów powiodło się i ile się powiedzie! Oto co mi powtarzał kapitan po wzięciu Berg-op-Zoom i Port-Mahon; dodawał, że przezorność nie daje pewności dobrego wyniku, ale daje pociechę i usprawiedliwienie w złym: dlatego też, w wilię bitwy, spał w namiocie tak spokojnie jak u siebie w alkierzu i siedł w ogień jak do tańca. O nim to dopiero byłbyś pan wykrzyknął: „Cóż to za człowiek!...”

W tym punkcie rozmowy, usłyszeli, w niejakiem oddaleniu za sobą, hałas i krzyki; odwrócili głowy i ujrzeli zgraję ludzi uzbrojonych w drągi i widły, którzy zbliżali się pośpiesznym krokiem. Gotowiście myśleć, iż to będą mieszkańcy oberży, służba i opryszki o których była mowa. Gotowiście myśleć, że rankiem, w braku kluczy, wywalono drzwi, zaczem bandyci wyobrazili sobie, że dwaj podróżni znikli unosząc z sobą ich odzież. Tak myślał Kubuś i mruczał między zębami: „Przekłête niech będą klucze, i urojenie czy racja która mi je kazała zabierać! Przekłéta przezorność! etc., etc“. Gotowiście myśleć, iż mały hufczyk

wpadnie na Kubusia i jego pana, że wywiąże się krwawa bitwa, razy i wystrzały; jakoż, zależałoby tylko odemnie, aby to wszystko w istocie miało miejsce; ale wówczas, bywaj zdrowa prawdo, bywajcie zdrowe amory Kubusia. Faktem jest, iż podróżnych nikt nie ścigał, i że nie wiem co zaszło w gospodzie po ich wyjeździe. Jechali dalej swoją drogą, ciągle nie wiedząc dokąd jadą, mimo iż wiedzieli mniejwięcej dokądby chcieli jechać; jechali, oszukując nudę i zmęczenie milczeniem i gawędą, jak to jest zwyczajem ludzi odbywających podróży, a niekiedy także i siedzących na miejscu.

Jest bardzo oczywistem że nie piszę tutaj powieści, skoro gardzę wszystkim, czem powieściopisarz nie omieszkałby się posłużyć. Ten, ktoby wziął to co piszę za prawdę, byłby może w mniejszym błędzie, niż ktoś ktoby to wziął za bajkę.

Tym razem, pan przemówił pierwszy, przyczem rozpoczął od zwyczajnej przyśpiewki: No i cóż, Kubusiu, historia twoich amorów?

KUBUŚ . — Nie wiem na czym stanąłem. Tak często musiałem przerywać, iż na jednoby wyszło zacząć od początku.

PAN . — Nie, nie. Ocknąwszy się z omdlenia na progu chaty, znalazłeś się w łóżku, otoczony przez jej mieszkańców.

KUBUŚ . — Doskonale! Otóż, najpilniejszą rzeczą było sprowadzić chirurga, nie było zaś takowego na milę w okóło. Pocziwiec kazał wsiąść na koń jednemu z synów, i wysłał go do najbliższego miasteczka. Tymczasem, dobra kobieta zagrzała garnek cienkiego wina, podarła starą koszulę, i oto wnet obmyto, obłożono i zawinięto w płótno moje biedne kolano. Paroma kawałkami cukru niedojedzonego przez muchy osłodzili zacni ludzie resztkę wina które służyło do opatrunku, i dali mi się napić: poczem, zachęcili mnie abym miał cierpliwość. Było późno;

mieszkańcy chaty zasiedli do stołu aby wieczerzać. Wieczerza się skończyła: chłopca i chirurga ani śladu. Ojciec zaczął się złościć. Był to człowiek z natury zgryźliwy; gderał wciąż na żonę, i nic mu nie było do smaku. Przepędził surowo dzieci spać. Żona usiadła na ławce i wzięła kądziel. On chodził tam i z powrotem, szukając raz po razu zwady ze swą połówicą. „Gdybyś była poszła do młyna jak ci mówiłem”... mruczał i kończył zdanie wymownym potrząśnięciem głowy w moją stronę.

„Pójde jutro.

— Właśnie dziś trzeba było iść, jak mówiłem... A cóż z resztkami słomy, które są w stodole? na cóż czekasz aby je zebrać?

— Zbierze się jutro.

— Tylko patrzeć jak braknie: byłoby lepiej, gdybyś zebrała dziś, jak ci mówiłem... A kupa jęczmienia, która pleśnieje na strychu; założyłbym się, nie pomyślałaś o tem aby ją przetrząsnąć.

— Chłopcy to już zrobili.

— Trzeba było zrobić samej. Gdybyś siedziała na strychu, nie byłabyś wystawała w drzwiach...”

Tymczasem zjawił się chirurg, potem drugi, potem trzeci, wraz ze synkiem gospodarza.

PAN . — Otoś bogaty w chirurgów, jak św. Roch w kapelusze. ³

KUBUŚ . — Pierwszego nie było w domu, gdy chłopaczek przybył go szukać; żona jego dała znać drugiemu, trzeci zaś pospieszył wraz z chłopcem. „Dobry wieczór panom kolegom; i wyście tutaj?” rzekł pierwszy... Spieszyli się ile mogli, zgrzali się, pić im się chciało. Zasiedli dokoła stołu, z którego nie zdjęto jeszcze obrusa. Kobieta schodzi do piwnicy i wraca z butelką. Mąż mruczy między zębami: „Djabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!” Popijają, rozmowa toczy się o chorobach w okolicy: zaczynają

wyliczać pacjentów. Skarżę się na ból, powiadają: „W tej chwili jesteśmy do usług.” Po tej buteleczce, zażądali drugiej, na rachunek kuracji; potem trzeciej, czwartej, ciągle na rachunek kuracji; za każdą zaś butelką, mąż ponawia swój wykrzyknik: „Djabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!”

Czegóżby nie wydobył kto inny z owych trzech chirurgów, z ich rozmowy przy czwartej butelce, z obfitości ich cudownych kuracji, z niecierpliwości Kubusia, złego humoru gospodarza, z rozpraw naszych wioskowych Eskulapów dokoła uszkodzonego kolana, z rozbieżności ich zdań: jeden utrzymywałby uparcie, że pacjent jest stracony, jeśli mu się co rychlej nie odejmie nogi; drugi zaś, iż trzeba wyjąć kulę i część ubrania jaka się z nią dostała do kolana i darować nieborakowi jego odnóże. Wśród tego, możnaby pokazać Kubusia jak siedzi na łóżku, patrząc litościwie na swą nogę i przesyłając jej ostatnie pożegnania. Trzeci chirurg baraszkowałby sobie, pókiby się nie wszczęła kłótnia, w której od słów przeszliby do gestów.

Daruję wam te wszystkie szczegóły, których pełno znajdziecie w powieściach, w dawnej komedji i w życiu. Skoro usłyszałem gospodarza, jak wykrzyknął po raz dziesiąty: „Djabli ją wynieśli na ten próg przeklęty!” przypomniałem sobie Molierowskiego Harpagona ⁴, gdy powiada o synu: Po kiegoż djabła łąził na ten statek? I pojąłem, że nie tylko chodzi o to aby być prawdziwym, ale że trzeba też być zabawnym; i to jest przyczyna, dla której, po wiek wieków, powtarzać będą: Po kiegoż djabła łąził na ten statek? odezwane zaś mego wieśniaka: Djabli ją wynieśli na ten próg przeklęty! nie przejdzie nigdy w przysłowie.

Kubuś nie zachował wobec pana względów jakich ja przestrzegam wobec ciebie, czytelniku: nie opuścił

najmniejszego szczegółu, narażając go zgoła na niebezpieczeństwo powtórnego zaśnięcia. Skończyło się na tem, iż, jeżeli nie najzręczniejszy, to w każdym razie najsilniejszy z chirurgów utrzymał się przy pacjencie.

Czy może (powiecie) masz zamiar rozkładać w naszych oczach lancety, wrzynać je w ciało, wypuszczać krew i kazać nam oglądać operację? Czy może, pańskim zdaniem, byłoby to dziełem arcydobrego smaku?... Dobrze więc, daruję wam ostatecznie operację; ale pozwólcie przynajmniej Kubusiowi powiedzieć swemu panu: „Ach, panie, to są straszliwe rzeczy naprawianie strzaskanego kolana!...” Panu zaś odpowiedzieć jak wprzód: „Ech, Kubusiu, żartujesz chyba”... Czego zaś za wszystkie skarby świata, nie zgodziłbym się zataić, to tego, iż, zaledwie pan Kubusia rzucił tę niedbałą odpowiedź, nagle, własny jego koń potyka się i pada, kolano pana wchodzi w bliską styczność ze spiczastym kamieniem, jego zaś właściciel krzyczy w niebogłosy: „Jezus Marja! moje kolano!...”

Kubuś, najlepszy w świecie chłopak jakiego sobie można wyobrazić, tkliwie przywiązany był do pana; mimo to, chciałbym wiedzieć co się działo w głębi jego duszy (jeżeli nie w pierwszej chwili, to przynajmniej skoro się upewnił dostatecznie iż upadek ten nie będzie miał przykrych następstw), i czy mógł sobie odmówić lekkiego drgnienia tajemnej radości z powodu przygody, która miała pouczyć tegoż pana, jak smakuje zranienie w kolano. Druga rzecz, czytelniku, co do której radbym abyś mnie objaśnił, to, czy jego pan nie byłby wolał zranić się, bodaj nieco ciężiej, gdzieindziej niż w kolano, i czy nie bardziej dopiekało mu zawstydzenie od bólu.

Skoro pan ocknął się nieco z upadku i przerażenia, wdrapał się na siodło i dał parę ostróg koniowi, który pomknął jak błyskawica; toż samo uczyniła kobyła Kubusiowa, pomiędzy bowiem dwojgiem bydłatek panowała

ta sama poufałość co między ich panami: były to dwie pary przyjaciół.

Gdy wreszcie konie, zdyszane, wróciły do zwyczajnego kroku, Kubuś rzekł: No i cóż, co pan o tem sądzi?

PAN . — O czym?

KUBUŚ . — O ranie w kolano.

PAN . — Jestem twego zdania; to jedna z najokrutniejszych.

KUBUŚ . — W pańskie kolano?

PAN . — Nie, nie, w twoje, w moje, we wszystkie kolana w świecie.

KUBUŚ . — Panie, panie, nie zastanowił się pan dobrze; wierz mi pan, żałujemy zawsze jeno siebie.

PAN . — Cóż za szaleństwo!

KUBUŚ . — Ach, gdybym umiał mówić tak jak umiem myśleć! — Ale było napisane w górze, iż będę miał różne rzeczy w głowie, a nie będę umiał znaleźć wyrazów.

Tutaj, Kubuś zapuścił się w metafizykę bardzo subtelną i może bardzo prawdziwą. Starał się wytłómaczyć panu, iż słowo ból jest samo w sobie bez treści, i zaczyna coś znaczyć dopiero wówczas, gdy przywodzi na pamięć wrażenie któregośmy sami doznali. Pan zapytał, czy zdarzyło mu się kiedy rodzić.

— Nie, odparł Kubuś.

— A czy myślisz, że to wielki ból?

— Oczywiście!

— Litujesz się nad kobietą w boleściach rodzenia?

— Bardzo.

— Zdarza ci się tedy litować nad kim innym niż sobą.

— Litość budzi we mnie istota, która załamuje ręce, wyrywa sobie włosy, wydaje krzyki, ponieważ wiem z doświadczenia, iż nie czyni się tego bez bólu; ale, co się tyczy cierpień właściwych kobiecie rodzącej, nie lituję się ich: niewiem co to jest, Bogu dzięki! Ale, aby wrócić do

niedoli, którą znamy obaj, do historii mego kolana, które stało się pańskim wskutek pańskiego upadku...

PAN . — Nie, Kubusiu, do historii twojej miłości, która stała się moją wskutek moich minionych utrapień...

KUBUŚ . — Oto więc leżę w łóżku, czując po opatrunku odrobinę ulgi; chirurg odjechał, gospodarstwo ułożyli się do spoczynku. Izba ich oddzielona była od mojej jeno rzadkiem przepierzeniem z desek, oklejonych szarym papierem z kolorowymi obrazkami. Leżałem, nie mogąc usnąć; wśród tego, słyszałem głos żony mówiącej do męża: „Daj mi pokój, nie mam ochoty do figlów. Biedny nieszczęśnik, który omal nie skonał pod naszym progiem!...

— Kobieto, opowiesz mi to później.

— Nie, nie chcę. Jeśli mnie nie zostawisz, wstaję z łóżka. Chcesz abym miała głowę do tego, po takim zmartwieniu!

— Jeśli się będziesz tak drożyć, możesz się załapać.

— To nie dlatego żeby się drożyć, ale, naprawdę, ty bywasz niekiedy tak uparty!... tak uparty!... bo to... bo to...”

Po dosyć krótkiej pauzie, mąż podjął rozmowę i rzekł: „No, kobieto, przyznajże teraz, iż niewczesnem współczuciem wpakowałaś nas w kłopot, z którego djabli wiedzą jak się wyplątać. Rok jest lichey; zaledwie będziemy mogli nastarczyć potrzebom naszym i dzieci. Zboże wprost na wagę złota! Wina na lekarstwo! gdyby jeszcze znaleźć jakąś pracę; ale bogaci się kurczą, biedacy nie mają zarobku; na jeden dzień zatrudniony, cztery traci się darmo. Nikt nie płaci tego co winien; wierzycciele ścigają z nieubłaganą zjadłością; i ty właśnie wybierasz tę chwilę, aby ściągnąć tu jakiegoś przybłędę, obcego człowieka, który będzie siedział nam na karku póki się spodoba Bogu i chirurgowi nie kwapiącemu się go uleczyć; wiadomo bowiem, iż każdy chirurg stara się przeciągać chorobę ile tylko może; przybłędę, powiadam, który nie śmierdzi ani szelągami i który w dwój- i w trójnasób pomnoży nam

wydatki. Kobieto, kobieto, jakże ty się pozbędziesz teraz tego człeka? Mówże co, żono, dajże jakąś rację.

— Czyż z tobą można mówić?

— Powiadasz, że jestem wściekły, że gderam; ciekawym ktoby nie był wściekły? ktoby nie gderał? Było jeszcze w piwnicy trochę wina: zobaczysz, czy długo się uchowa! Panowie chirurdzy wypili wczoraj przez wieczór więcej niż my i dzieci przez cały tydzień. A chirurg też nie będzie przychodził darmo, możesz sobie wyobrazić: któż go zapłaci?

— Tak, bardzo rozumnie mówisz, i dlatego że taka bieda, czynisz co możesz aby postarać się o nowe dziecko, jakgdyby ich nie było dosyć.

— Ale nie!

— Ale tak; jestem pewna, że zastąpię.

— Za każdym razem to powtarzasz.

— I nigdy nie chybiło, zwłaszcza kiedy ucho mnie swędziało, a czuję swędzenie jak nigdy.

— Et, ucho...

— Nie dotykaj! zostaw moje ucho! zostawże, człowieku, czyś oszalał? pożałujesz!

— Aha! toć poszczę już od wili św. Jana.

— Póty będziesz wojował, aż... a potem za miesiąc będziesz się wykrzywiał, jakby to było z mojej winy.

— Nie, nie.

— A za dziewięć miesięcy jeszcze gorzej.

— Nie, nie.

— Zatem sam chcesz?

— Tak, tak.

— Będziesz pamiętał? nie powiesz jak za każdym razem?

— Tak, tak..."

I oto, pomału, z nie, nie, do tak, tak, ów człowiek, wściekły na żonę iż dała się zmiękczyć uczuciu ludzkości...

PAN . — Właśnie sobie czyniłem tę uwagę.

KUBUŚ . — To pewna, iż ów mąż nie był zbyt konsekwentny; ale był młody, a żona ładna. Nigdy nie robi się tyle dzieci co w czasach nędzy.

PAN . — Nic się tak nie mnoży jak biedacy.

KUBUŚ . — Jedno dziecko więcej, to nic dla takich ludzi; miłosierdzie boskie je wyżywi. A potem, to jedyna przyjemność która nic nie kosztuje; człowiek pociesza się tanim kosztem w nocy po utrapieniach dnia... Z tem wszystkim, uwagi gospodarza nie były bez słuszności. Podczas gdy sam to sobie mówiłem, uczułem gwałtowny ból w kolanie i wykrzyknąłem: „Au! kolano!“ A mąż na to: „Och! żono!...“ A żona: „Och! mężu! ależ... ależ... ten człowiek tam jest!

— No, więc cóż, ten człowiek?

— Może słyszał.

— A niechby słyszał.

— Nie będę mu śmiała jutro w oczy spojrzeć.

— A to czemu? Czy nie jesteś moją żoną? czy nie jestem twoim mężem? Czy mąż ma żonę, a żona męża na darmo?

— Och, och!

— Cóż takiego?

— Ucho!...

— Cóż, ucho?

— Gorzej niż kiedy.

— Śpij, to przejdzie.

— Nie potrafię. Och, ucho! ucho!

— Ucho, ucho, łatwo to mówić...”

Nie umiem wam powiedzieć, co zaszło; ale kobieta, powtórzywszy kilka razy ucho, ucho, głosem cichym i przyspieszonym, zaczęła wreszcie bełkotać przerywanemi głoskami u... cho ... u... cho ..., a potem, w następstwie tego u... cha ..., sam nie wiem co jeszcze; wszystko razem, w połączeniu z milczeniem jakie zaległo potem, pozwoliło wnosić, iż swędzenie ucha uśmierzyło się w ten lub ów

sposób, mniejsza o to jak: co mi zrobiło szczerą przyjemność. No, a dopiero jej!

PAN . — Kubusiu, połóż rękę na sumieniu i przysięgnij, że nie w tej kobiecie się zakochałeś.

KUBUŚ . — Przysięgam.

PAN . — Tem gorzej dla ciebie.

KUBUŚ . — Gorzej lub lepiej. Myśli pan zapewne, iż kobiety, które są takiej przyrody co ona, chętnie użyczają ucha?

PAN . — Myślę, iż tak jest napisane w górze.

KUBUŚ . — Ja myślę, iż, w dalszym ciągu, napisane jest, że nie długo słuchają jednego i tego samego osobnika i bywają conieco skłonne użyczać ucha postronnym.

PAN . — Możliwe.

I oto zapuścili się w nieskończoną sprzeczkę o kobietach.

Jeden twierdził iż są dobre, drugi że złe: i obaj mieli słuszność; jeden że głupie, drugi że pełne sprytu: i obaj mieli słuszność; jeden że fałszywe, drugi że szczerze: i obaj mieli słuszność; jeden że skąpe, drugi że rozrzutne: i obaj mieli słuszność; jeden że ładne, drugi że szpetne: i obaj mieli słuszność; jeden że gadatliwe, drugi że skryte; jeden że szczerze, drugi że obłudne; jeden że ciemne, drugi że oświecone; jeden że stateczne, drugi że wyuzdane; jeden że postrzelone, drugi że roztropne; jeden że duże, drugi że małe: i obaj mieli słuszność.

Wśród tej dysputy, podczas której mogli byli objechać dookoła ziemię nie przerywając ani na chwilę i nie doszedłszy do porozumienia, zaskoczyła ich burza, która zmusiła ich skierować się... — Gdzie? — Gdzie? czytelniku, ciekawość twoja zaczyna być bardzo niewygodna! Cóż ci, u djaska, na tem zależy? kiedy powiem że do Pacanowa, do Mościsk, lub do Ryczywołu, czy dużo cię to posunie naprzód? Jeżeli będziesz nalegał, powiem, iż skierowali się do... owszem, dlaczego nie?... do ogromnego zamku, nad

którego bramą znajdował się ten napis: „Należę do nikogo i do wszystkich. Byliście tu, nimeście weszli, i będziecie jeszcze, skoro wyjdziecie.” — Czy weszli do tego zamku? — Nie, bowiem albo napis był fałszywy, albo byli już w zamku zanim doń weszli. Ale przynajmniej wyszli stamtąd? — Nie, bowiem albo napis był fałszywy, albo byli tam jeszcze, skoro zeń wyszli. — I cóż tam robili? — Kubuś powiadał, iż to co było napisane w górze; pan, iż to co chciał: i obaj mieli słusność. Jakie towarzystwo zastali? — Mięszane. — Co mówiono? — Nieco prawdy, i wiele kłamstw. — Czy byli tam ludzie dorzeczni? — Gdzież ich niema? a także i przekłęci zadawacze pytań, których unika się jak zarazy. A co najwięcej raziło Kubusia i pana, przez cały czas gdy się przechadzali... — Więc się przechadzali? — Bezustanku, o ile tylko nie siedzieli lub nie leżeli... Najwięcej raziło ich to, iż zastali z jakich dwudziestu śmiazków, którzy zagarnęli sobie najwspanialsze apartamenta, gdzie, po największej części, było im jeszcze ciasno. Zuchwalcy ci utrzymywali, wbrew powszechnemu prawu i istotnemu znaczeniu napisu, iż zamek przekazano im na pełną własność; i, przy pomocy garstki płatnych hultai, wparli to przekonanie w znaczną liczbę również płatnych przez siebie hultai, gotowych, za drobną sztukę monety, powiesić lub zamordować pierwszego któryby się ośmielił sprzeciwić: wszelako, za czasu Kubusia i jego pana, bywały wypadki takiej śmiałości. — Czy uchodziły bezkarnie? — To względne.

Powiecie mi, iż czynię sobie zabawkę, i że, nie wiedząc co począć z mymi podróżnymi, rzucam się w alegorję, pospolity ratunek jałowych umysłów. Daruję wam moją alegorję i wszystkie bogactwa jakie mógłbym z niej wydobyć; przyznam co wam się spodoba, ale pod warunkiem, iż nie będziecie mnie nękać w kwestji ostatniego noclegu Kubusia i jego pana; czyto dobili do jakiegoś miasta i nocowali u dziewcząt; czy że spędzili noc

u starego przyjaciela, który podjął ich jak mógł najlepiej; czy że szukali schronienia u mnichów zakonu żebrzącego, gdzie, dla miłości Bożej, dano im zły nocleg i lichą strawę; czy znaleźli gościnę w domu możnego pana, gdzie im brakło wszystkiego co potrzebne, pośród obfitości wszystkiego co zbyteczne; lub też opuścili rankiem wielce pańską gospodę, gdzie im kazano zapłacić bardzo drogo za lichą wieczerzę podaną na srebrnych półmiskach i noc spędzoną pod kotarami z adamaszku w wilgotnych i nieświeżych prześcieradłach; lub że przyjęli gościnność wiejskiego wikarego, który pospieszył na wieś obłożyć dziesięciną kurniki parafian, aby zdobyć dla gości omlet i potrawkę z kurczęcia; albo też podpili sobie przedniem winkiem, podjedli suto i zyskali dobrze zapracowaną niestrawność w bogatym opactwie Bernardynów; mimo bowiem że to wszystko zdaje się jednako możliwe, Kubuś nie był tego zdania; istotnie możliwą z tych możliwości była tylko ta, która była zapisana w górze. Co natomiast jest prawdą, to iż, z jakiegobądź miejsca podoba się wam aby wyruszyli w drogę, nie ujechali jeszcze dwudziestu kroków, kiedy pan rzekł do Kubusia, zaczerpnąwszy poprzednio, wedle zwyczaju, spory niuch w tabakierce: „No i cóż, Kubusiu, historia twoich amorów?” Zamiast odpowiedzieć, Kubuś wykrzyknął: „Do diabła z historjami moich amorów! A toć ja, dalibóg, zostawiłem...”

PAN . — Cóżżeś zostawił?

Zamiast odpowiedzieć, Kubuś wywracał wszystkie kieszenie i przeszukiwał nadaremnie. Zostawił pod poduszką miszek podróżny z pieniędzmi, ale ledwie zdążył uczynić panu to przykre zwierzenie, ów zakrzyknął: Do diabła z historjami twoich amorów! Toć mój zegarek został na kominku!

Kubuś nie dał się prosić; natychmiast zatoczył koniem i poczłapał z powrotem powolnym truchtem, nigdy bowiem

nie było mu spieszno... — Do ogromnego zamku? — Nie, nie. Z pośród rozmaitych możliwych noclegów, wybierzcie ten, który najlepiej odpowiada okolicznościom.

Tymczasem, pan jechał ciągle naprzód: oto więc pan i sługa rozdzielili się, i nie wiem któremu z nich towarzyszyć. Jeśli chcecie udać się za Kubusiem, miejcie się na baczności: poszukiwanie sakiewki i zegarka może być tak długie i zawikłane, iż nieprędko uda się słudze połączyć ze swym panem, jedynym powiernikiem jego amorów, a wtedy bywajcie zdrowe amory Kubusia. Jeśli, wysławszy go samego na poszukiwanie zegarka i sakiewki, zechcecie dotrzymywać kompanii panu, będzie to z waszej strony wielka uprzejmość, ale przypłacicie ją potężną nudą: nie znacie jeszcze ludzi tego gatunku. Myśli w głowie ma jak na lekarstwo: jeśli mu się zdarzy powiedzieć coś do rzeczy, to chyba coś zasłyszanego albo też przypadkiem. Ma oczy, jak wy i ja: ale przeważnie nie wiadomo czy patrzy. Nie śpi, a także nie czuwa: pozwala spływać życiu: to jego zwykłe zatrudnienie. Automat ów wędrował przed siebie, oglądając się od czasu do czasu, aby sprawdzić czy Kubuś nie wraca; schodził z konia i szedł piechotą; wsiadał z powrotem, jechał ćwierć mili, znów zląził i siadał na ziemi, okręciwszy uzdę dokoła garści i wsparłszy głowę na rękach. Kiedy znużył się tą postawą, wstawał i patrzył z daleka czy nie widać Kubusia. Ani śladu! Wówczas niecierpliwił się, raz po raz mruczał bez myśli: „Hycel! pies! łajdak! gdzie on siedzi? co on robi? Czy potrzeba tyle czasu, aby odnaleźć sakiewkę i zegarek? Kości mu pogruchocę! to go nie minie; och, kości pogruchocę!” Następnie, szukał zegarka w kieszonce, gdzie go nie było, i popadał stopniowo w ostateczną rozpacz, nie wiedział bowiem co począć bez zegarka, tabakierki i Kubusia; były to trzy wielkie pociechy jego życia, które spływało na zażywaniu tabaki, spoglądaniu na godzinę i zadawaniu pytań Kubusowi: a to we wszystkich możliwych

kombinacjach. Pozbawiony zegarka, musiał się tedy ograniczyć do samej tabakierki, którą otwierał i zamykał co minutę, ot, jak i ja czynię kiedy się nudzę. Wieczorna pozostałość tabaki w mojej tabakierce stoi w stosunku prostym do zabawy, lub odwrotnym do nudy w ciągu dnia. Błagam cię, czytelniku, abyś się oswoił z tym sposobem mówienia zapożyczonym z geometrii, podoba mi się bowiem jego ścisłość i będę się nim nieraz posługiwał.

No i cóż? masz już dosyć pana; a że sługi coś długo nie widać, czy chcesz abyśmy podążyli ku niemu? Biedny Kubuś! w chwili gdy o nim mówimy, wykrzyknął boleśnie: „Było tedy napisane w górze, iż, jednego i tego samego dnia, przytrzymają mnie jako złodzieja i bandytę, zaprowadzą do więzienia, i w dodatku obwiniają o uwiedzenie dziewczyny!”

Gdy, wolnym truchcikiem, zbliżał się do zamku... nie... do miejsca ostatniego noclegu, minął go jeden z owych wędrownych kramarzy, kupczących wszelkim towarem i krzyknął: „Panie szlachcicu, mam podwiązki, paski, łańcuszki do zegarków, tabakierki najnowszej mody, dewizki, pierścionki, pieczętki. Oto zegarek: złoty, cyzelowany, z podwójną kopertą, jak nowy...” Kubuś odparł: „Szukam właśnie zegarka, ale to nie ten...” i dalej człapał drogą, ciągle wolnym truchcikiem. Gdy tak jechał, nagle zdało mu się, iż widzi napisane w górze, że zegarek ofiarowany przez tego człowieka jest tożsamym z zegarkiem jego pana. Nawraca tedy i rzecze: „Pokażno, przyjacielu, ów zegarek w złotej oprawie, mam jakieś przeczucie że mi się nada.

— Na honor, odparł przekupień, nie dziwiłbym się: piękna, bardzo piękna sztuka, prawdziwy Julian Le Roi ⁵ . Ledwo parę chwil jak go mam w posiadaniu; nabyłem go ot, za bezcen, ustąpię też niedrogo. Lubię zysk mały a częsty; ale teraz lichej czas na interesa: mogę ze trzy miesiące

czekać na podobną gratkę. Wyglądasz na pocziwego człowieka; wolę abyś pan skorzystał, niż kto inny...”

Tak gwarząc, przekupień ułożył kramik na ziemi, otworzył go i wydobył zegarek, który Kubuś poznał natychmiast i bez zdziwienia; o ile bowiem nigdy się nie spieszył, o tyle dziwił się rzadko. Obejrzał dobrze zegarek: Tak, powiedział sobie w duchu, to ten... Do przekupnia zaś: „Masz pan słuszość, ładny, bardzo ładny i wiem że chodzi doskonale...” Następnie, wpuszczając go do kieszonki, rzekł: „Przyjacielu, ślicznie dziękuję!”

— Jakto, ślicznie dziękuję?

— Tak, to zegarek mego pana.

— Nie znam żadnego pana, zegarek jest mój, kupiłem go i zapłaciłem w gotowiznie...”

I, chwytając Kubusia za kołnierz, zaczął się z nim szamotać. Kubuś rzuca się do konia, chwytając pistolet z olstrów i przykładając do piersi kramarza, woła: „Umykaj, albo zginiesz”. Kramarz, przerażony, porzuca zdobycz. Kubuś siada z powrotem na konia i rusza truchcikiem ku miastu, mówiąc w duchu: „Otóż i byłby zegarek, pomyślmy teraz o sakiewce...” Kramarz zamyka w pośpiechu walizkę, bierze ją z powrotem na plecy i spieszy za Kubusiem, wołając: „Złodziej! złodziej; morderca! na pomoc! do mnie! do mnie!...” Było to w porze zbiorów: w polu było pełno pracowników. Wszyscy porzucają sierpy, gromadzą się koło przekupnia i pytają gdzie złodziej, gdzie morderca.

„O ten, oto jedzie.

— Jakto! ten tam, który wędruje truchtem ku bramom miasta?

— Ten sam.

— Idźcież człowieku, źle macie w głowie, toć złodziej nie jedzie takim krokiem.

— Złodziej, powiadam wam, złodziej: wydarł mi przemocą złoty zegarek...”